Rok 1903. LWÓW, 5 KWIETNIA. Nr. 14.

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO“ POŚWIĘCONY NAUCE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

DO SAMUELA NIESŁUCHOWSKIEGO*).

WIERSZ NIEDRUKOWANY.

Parnaski towarzyszu, śpiewaku Prypeci,
Nim Nasta na kominie ognisko roznieci,
Nim na szklankę herbaty żona cię zawoła,
Przetrzyj oczy i czytaj; oto epistoła!

Piotr Wielki, co w pamięci wieków przeszłych żyje,
W rozliczne ministerstwa opatrzył Rosyję;
Jest „Justyeya“, służąca bogini Temidzie;
Prokurorów i Strapczych za nią szereg idzie,
Co sądzą, jak w Osieku za dawniejszej daty;
Jezioro na pastwisko, a babę w sołdaty.
Są „Wnutrennije dieła“, przybytek obrońcy,
Poczyna się ministrem, a kluczwojtem kończy.
Sprawiedliwość tam siedzi w szklance ponczu na dnie;
Czy kto człeka zabije, czy konia ukradnie,
Wyjdzie gładko, kubana dawszy w swoim czasie,
Jeżeli z asesorem i sprawnikiem zna się.
Jest minister „finansów“ z „Kazienna pałatą“,
Który, pożarty kruszec trawi asygnatą
I raport każdodziennie drukuje pokrótce,
Ile milionów rubli zarobił na wódce.
Jest minister „Imuszczestw“; o, to wielkie słowo,
Co w przęga w jego rydwan całą włość skarbową;
Jedzie na chudej szkapie, a jej imię „nędza“;
Tnie kłusa na starszynie, Okrużnym popędza,
A chcąc, by wyszli z lasów Litwini zdziczeni,
Stare, towarne sosny chowa do kieszeni.

Tak Piotr Wielki, stworzywszy wielkie potentaty,
Przypomniał, że potrzeba ministra „oświaty“,
Że bez liter azbuki będzie w kraju defekt,
Że potrzebny kurator, dyrektor i prefekt;
Więc rzekł: Moskwo tatarska, ucz się po łacinie,
Daję nauczycielom „worotniki sinie“,
Niech uczą katechizmu od deski do deski,
Że car, to jest bóg ziemski, a Bóg — bóg niebieski.
Lecz gdy przyszło pomyśleć o słusznej zapłacie,
Nie starczyło asygnat ku chłopów oświacie;
Więc rzekł mędrcom: Gdy panem islamizmu będę,
Oddam wam górę Parnas w wieczystą arendę;
Jak strapczy lub okrużny, pod moją opieką.
Będziecie z muz dziewięciu doić tłuste mleko;
A tymczasem, nim wojna z Turkiem się rozbudzi,
Wy, kapłani Minerwy, zostaniecie chudzi,
Bo innym ministerstwom, pomimo mej woli,
Musiałem oddać brzytwę, co bez mydła goli.

Więc czekając na naszej uczonej katedrze,
Zaczem Moskwa z bagnetem na Parnas się wedrze,
Nie mając za co chleba posypywać solą,
Patrzmy, jak się po innych ministerstwach golą.

Patrz, jak prezes pałaty, z postacią ponurą,
Goli brodę klienta zarazem ze skórą;
Patrz, jako w Ziemskim sądzie sprawnik, niby Jowisz,
Chociaż go na uczynku golenia nie złowisz,
Skrobie skórę klienta, co próżen pocieszeń,
Chociażby chciał ocalić wypróżnioną kieszeń,
Lecz go dalej z brzytwami napada tłum dziki.
Z jednej strony sekretarz, a z drugiej piszczyki.
Tak w przybytku Temidy straciwszy ostatki,
Wychodzi ogolony, jakby z łona matki.

Teraz szerszy horyzont; kędy wzrok egarnie,
Patrz po szerokim kraju, jakie są golarnie.
Niech patrzy i podziwia cała Europa:
Prezes goli okrużnych, a okrużni chłopa;
Gubernator sprawnika goli strychem grackim,
Aż się cała historya kończy na dziesiackim.

My tylko, którzy gażę z gór Parnaskich bierzem,
Z wychudłemi twarzami i „sinim“ kołnierzem,
Choć komu jaki urząd popiastować przyjdzie.
Jesteś archeologiem, czy prefektom w Lidzie?
Wydał wyrok Piotr Wielki, a potem Apollo:
Niech zwolennicy muzy sami siebie golą,
Bo dla dobra oświaty, na przestrzeni Litwy
Nie starczyło funduszów na mydło i brzytwy,
Więc golmy sami siebie w oświeconej spółce.
Prefekcie, wszak masz mydło i brzytwy w szkatułce?
A ja ujrzałem w lustrze, powróciwszy z wanien,
Że z niegoloną brodą trudno iść do panien,
Pomóż, zacny prefekcie, pomóż w trudnej chwili!
Przez wdzięczność cały Parnas głowę ci uchyli,
Podziękuje ci Szekspir, Mickiewicz i Gogol;
Pożycz mi swojej brzytwy, lub mi brodę ogol!

*) S. Niesłuchowski, prefekt szkoły w Lidzie, autor zbiorku poezyi p. t. „Prypecida“. Wiersz napisany r. 1860, w Birsztanach, w mieszkaniu Emila B.

WACŁAW WOLSKI.

Z CYKLU „AWATARY“.

OBJAWIENIE.

...Ja duch książęcy, chłodny, księżycowy,
Lodowy seraf błękitnego chóru,
Śniąc na tarasach czarnego marmuru,
Powziąłem zamysł piekielnej osnowy...

Ukryłem w pochwie złotego jaszczuru
Puginał jaźni błękitnie stalowy...

Śpiący na tronu padłem złotogłowy,
W sieć brylantową gwiezdnego ażuru...

Rozchwiany w lśniącym, tęczowym hamaku,
W lodowych duchów błękitnym orszaku,
Śniłem zamierzchłe, złote awatary...

Brylantowego błyszczący puch maku
Sypał na oczy miesiąc złotoczary
Przy szklanym brzęku bronzowej cytary...

POŻAR.

...Szumi płomieni morze szmaragdowe,
Baśnią lotosów zakwita zmierzch szklany...
Lśni wielki kanał, poświatą oblany...
Płoną pałace czarne kryształowe...

W złotych gondolach błękitne szatany
Pieszczą zniszczenia wizye neronowe...
W dymach zielonych lśni miasto widmowe,
Zapadające w sezamy Nirwany...

Pałaców czarne błyszczące kryształy
Podpala żagwią, zielono płonącą,
Potworny karzeł czerwony, spotniały...

Głowni szmaragdy chwilami roztrącą
Głąb szklaną, jakby w nią słońca spadały...
Zmierzch błyszczy baśnią lotosów kwitnącą...

NA BŁĘKITNEM SŁOŃCU.

...Senna baśń chłodnych błękitnych kryształów...
Jaśnienie fali błękitnej, przeźroczej...
Błękitnych smoków zaszklone lśnią oczy
Śród stalaktyków błękitnych zawałów...

Chwilami błyśnie ohydny łeb smoczy
W lawinach piany srebrzystej rozbiałów,
Śród łoskoczących porohowych szałów,
Które błękitna chłodna fala toczy...

Stalaktytowe błękitne zatory
Śród orgij szturmu spienionych fal sfory
Błyszczą srebrzystą światłością baśniową...

Malsztrom porywa łódź złotą widmową,
Na której pieśniarz lśni złotokędziory,
Głaszczący bestye grą szklaną, lutniową...

MAKSYM GORKIJ.

BURZA.

BALLADA.

Jasny blask słońca. Subtelny dmie wietrzyk. Morze w lekkiem poruszeniu. Spokojnie mknie nasz okręt po falach. Dal niezmierzona przed nami. Wiosłujemy w kierunku oddalonego jeszcze rozpadzistego złomu skalnego.

Fale uderzają silnie o mur kamienny, poczem płyną swobodnie i ochoczo poprzez jego wielkie wydrążenie.

„Morze niechętnie cierpi przeszkody“, zauważył mój przewodnik, stary, barczysty marynarz.

„Jak też dawno, odkąd się tak rozpadł?“, pytałem, uprzytomniając sobie mimowoli siłę uderzenia fal, która ten ogrom skał niszczyć mogła.

„O ile się zdaje, już dawno, dawno temu...“, odrzekł zamyślając się żeglarz. „Czyż nie znacie starego podania marynarzy, podania o walce fal ze skałami?... Ja je wam opowiem!“

— — — — — — — —

„Fale morskie były niegdyś wolne, jak ptak w przestworzach niebios. Matka burza śpiewem je do snu kołysała. Były jak wesołe dzieci; ciągnęły w dal, dal daleką, bez spoczynku, bez przeszkód.

Atoli pewien osępiały tyran pozazdrościł ich losowi. Postanowił ich pozbawić wolności: nie będą tak dumnie bujały po głębinach morskich, szumieć nie będą rozmarzone ku jasnemu słońcu i lazurowi niebios!

Wysyła on posłuszne sługi: dobywają oni skały u podstaw ziemi i piasek wrzucają w fale.

Rzęży morze...

Wesoło przyglądają się fale staczaniu się skał w głębie, cisną się i przewracają, przymilając do posępnych skał.

„Jak pięknie! Jak pięknie!“, wykrzykują radośnie. „Z podstaw ziemi mamy gości. Witajcie ich serdecznie! Zaśpiewajcie wesołą pieśń na przywitanie! Teraz dopiero wspaniale na morzu będzie, zaintonujcie hymny radośne na cześć światła i wolności!“

...I weselą, weselą się fale, młode...

Tylko matka burza i ojciec orkan rzucają się z wyciem naprzeciw gościom i przyglądają im się zachmurzeni.

A skały spadają w morze, skały na skały. Już tworzą gęste mury. Już wstrzymują bieg fal. Odpychają je hardo.

Przestrach ogarnia fale. Z nagłym dreszczem spoglądają na wysokie posępne mury.

Po raz pierwszy ich wolny bieg napotkał przeszkodę.

Posuwają się trwożnie widząc niebezpieczeństwo. Rozbijają swą młodą pierś o skały i odskakują z jękiem.

Zimny, zimny jest mur i nieprzystępny.

Drży morze...

Fale mocują się, zataczają się, ogarnięte trwogą a mur skalny je gruchocze.

Ciszę morską przerywa okrzyk bolesny, szum fal żalu pełen: „Zdrada! Zdrada!“, wołają głośno. „Myśmy ich uprzejmie przyjęły, a one nas teraz pozbawiają wolności!“ Otóż płacze matka burza, a ojciec orkan rzuca się na mur ponury, narzekając: „Wy okrutne skały, jak możecie me dzieci pozbawiać wolności? Czyż nie byłyście same niegdyś wolne i nie kochałyście wolności? Jak możecie nam jej zabrać?!“

„My nie działamy własnowolnie“, odpowiedziały posępne skały. „Gdy rozkażą rabować — — my dokonujemy“, dodają mrukliwie i spoglądają gniewnie na fale.

Szumi matka burza, poświstuje ojciec orkan nad morzem. Łkając i biadając, oznajmiają falom smutne orędzie: „Biedne wyście! Złote czasy wolności minęły! Stałyście się niewolnicami!...“ Poczem oddalają się...

Drętwieje morze...

Stare silne fale chowają się w głąb morza. Ich nie budzi więcej burza, orkan więcej nie woła.

Tylko młode płyną dalej smutne; nie usłyszeć śpiewu, ani wesołych śmiechów; nawet słońce przyświeca smutne a niebo jest zamglone i szare...

Znękane niewolą ciemną szturmują młode fale zjednoczonemi siłami nieprzyjaciela. Lecz tylko rzadko się zdarza. Szereg za szeregiem uderza na strome skały.

Jednak mur stoi nieruchomy i nieprzystępny. Tylko biadające echo wstrząsa powietrzem. Są to głosy boleści mrących bojowników...

Morze łka...

Czas mija...

Wiele lat przemija...

Wiele fal tłucze swą pierś o nieruchome skały. I coraz ciemniej, coraz posępniej staje się w koło...

Wtem ogarnia fale rozdrażnienie. „To nie może tak pozostać! Musi kiedyś i nasza wybić godzina! Wprawdzie poczekamy! Lecz sił tymczasem nabierajmy!“.

Ot znowu przemija wiele czasu...

Młode fale zmężniały, zmężniały i świadome swej siły. Wysłannicy przeciągają we wszystkie strony, aby budzić śpiących, do walki ze skałami. Wgłąb morza, do starych fal, prowadzi ich pierwsza. „Nie“, powiadają. „Brak nam sił i ochoty do walczenia i pasowania się. Jak mogłybyśmy walczyć ze skałami, jak je pokonać?“

Wysłańcy fal spieszą dalej, do matki burzy i ojca orkana. Szukali ich długo. Na morzu ich nie było. Byli w pieczarach górskich. „Witajcie nam, wy starzy“ wołali ku nim wysłannicy. „Opuszczajcie górską cieśń, a chodźcie na otwarte morze. Rozszarpcie haniebne kajdany, krępujące ducha naszych braci. Natchnijcie stare fale nowem życiem i myślą o wolności. Sprowadźcie masy i z niemi ruszajcie przeciw skałom. My się śmierci nie trwożymy i nas walka nie odstrasza, gdyż idzie o wolność naszych braci!“ Serce matki burzy uderzyło młotem, krew zawrzała w ojcu orkanie. Pamiętają dawne, piękne czasy. Przypatrują się przyjaźnie młodym wysłannikom. Oto zabrzmiewa radośna wieść potężnie z wyżyn górskich w dal ponad bezkresowe morze: „Przyjdziemy! Przyjdziemy! Przyjdziemy! Walczyć za wolność, wolności zdobywając! Budźcie się potężne fale, powstańcie, by zerwać kajdany niewoli!“

Wszechpotężny rozlega się okrzyk. Budzi śpiących, odmładza starych. Dodaje odwagi wojennej i otuchy wlewa...

Fale podnoszą się i szumią w stronę, skąd zabrzmiał potężny głos. Noc ciemna nastaje. Ołowiane obłoki wisiały nad morzem, gdy rozległo się wołanie. Ze wschodu i zachodu, północy i południa przypływają fale i ustawiają się w silne szeregi.

Serce młodych żarzy się odwagą wojenną, które też pierwsze prą się do szturmu. Błyskawica próje powietrze; już orkan w pomoc spieszy matce burzy. Zawierucha szerzy się, huczy orkan. „Tarczę w górę! Tarczę w górę! Naprzód, potężne fale! Śmierć lub zwycięstwo!“ wołają donośnie i rzucają się na posępny mur skalny.

Skały drżą. Już zbliżają się burzliwe fale. Już prawie tu. Uderzają piersią o skały, krwawiąc się odpadają natychmiast. Ich krew, krew nieustraszonych bojowników broczy skały. „Moje dzieci! żałośnie woła matka burza. „Pierwsi polegli i wielu, wielu jeszcze za nimi pójdzie. Lecz my zniszczyć musimy nieprzyjaciela!“

Pieni się morze... Wciąż idą nowi bojownicy w miejsce poległych...

Jacy waleczni i jacy dzielni! Szumiąc i huczące, uderzają o mur posępny, odpadają, rwą się na nowe do walki, umierając wzywają braci na pomoc. Skała jeszcze wciąż nieruchoma. Jednak ruszają ciągle nowe tłumy, odważne i nieustraszone; bez liku ich strasznych fal. Morze ustępuje z brzegów. Fala z falą zwiera się silnie. Szum i jęk wstrząsa powietrzem.

Silne jak lwy walczą stare w miejscu młodych. Biały ich włos igra w powietrzu, cała ziemia się trzęsie przy ataku na skały.

Nastał poranek. Szary, mglisty poranek. A jeszcze stoją skały nieprzystępne, jeszcze słychać poświst burzy, fale rozbijają się i giną, pierś o skały gruchocząc.

Przerażeni zbiegają się ludzie. Rybacy przyglądają się zasępieni śmierci tyle wspaniałych fal.

Ból gorzki serce im ściska. Płaczą posępni ludzie i proszą Boga, żeby przyspieszył koniec walki, dawszy zwyciężyć falom. Nawet tyrana, który skały w morze wniósł, strach ogarnia. Jego zdrętwiałe serce drży na widok cierpień i śmierci fal. Jak chętnie usunąłby teraz skały i obdarzył fale swobodą. Lecz za późno... Teraz już ani płaczą, ani się fale modlą. Za wiele ich poległo, za słodko pomścić poległych.

Postępują więc odważne, kierowane donośnym okrzykiem wojennym. Jedno tylko pewne: Albo zwyciężą, albo morze stanie się ich wspólnym grobem. Walka toczy się dalej. Przy strasznym ataku zjednoczonych sił trzęsą się skały... Fale słabną... Wszakże tylko na chwilę... Odpadają i rzucają się z szalonym wrzaskiem nazad w wir walki. Straszny zamęt. Szum i huk napełniają powietrze, a zdaje się, jakoby się morze podniosło i zlało w jedno z niebem.

W tem... przy ostatnim ataku poddają się skały. Kruszą się, rozlatują, załamują się i zapadają w głębie, w grób zmarłych fal. „Precz! Precz, haniebne trupy!“ woła morze do spadających skał. „Tu grób młodych fal, grób walczących za wolność!“ — Wtem otwiera się otchłań morska i połyka klnąc posępne skały.

Raduje się morze. Pokonało ogromną potęgą nieprzyjaciela. Wesołe płyną fale, śpiewając hymny poległym bojownikom, którzy im wolność wywalczyli.

„Cześć poległym — — żyjącym wolności!“ —

— — — — — — — — — — —

Oczarowany przysłuchiwałem się cudownej, narodowej legendzie. Z zachwytem przyglądałem się swobodnym falom pełnym sił i odwagi. Niebo lazurowe rozpościerało się nademną, przedemną leżało morze, oblane złotymi promieniami słońca majowego. Z oddali huczy różnorodny hałas życia miejskiego. Dźwięki sytego zadowolenia, szum „nahajki“, brzęk kajdan i jęk... jęk boleści... I miałem przeczucie, jakoby, het daleko, daleko w szarym brzasku, burza szalała...

...Och ludzie! Politowania godni, nędzni ludzie!

TŁUM. E. RAPAPORTOWA.

TAD. ST. GRABOWSKI.

JAROSŁAW VRCHLICKÝ i JEGO POEZYA.

W 50-ą życia rocznicę.

„Wielki pielgrzymie poetyckich szlaków,
Coś zbiegł Oryenty wsze i Okcydenty,
Runicznych Pieśni poszukując znaków,
Coś w morzu, księdze, w garści polnych maków

Jednakie znalazł Piękna firmamenty —
Niech cię dziś, jako klucz wędrownych ptaków,
Oblecą wszystkie liry twej fragmenty,
Epiki wrzawne niech zagrzmią tententy,
Sonet zadzwoni, oba orle skrzydła
Rozwinie w przestwór, sekstyn dyamenty
Zapłoną ogniem, barwą — malowidła,
A wszystkie borów, mórz i pól kadzidła
Niech cię owioną, miast z kadzielnic tłumów,
Z twych własnych ballad, nokturnów, pantumów!“

(Miriam: „Poecie J. Vrchlickiemu“ w 40-ą rocznicę.)

. . . . . .

Temi słowy pozdrowił Miriam poetę czeskiego przed 10 laty, dając już w nich krótką, lecz świetną charakterystykę twórczości i talentu Vrchlickiego, kreśląc śmiało i wyraźnie drogi jego ducha, zawrotne szczyty natchnienia, nieskończone pasmo uczuć i nastrojów, ogromne bogactwo formy, a nawet zaznaczając w końcowych wierszach stosunek Vrchlickiego do społeczeństwa i krytyki.

Vrchlický rzeczywiście „zbiegł Oryenty wsze i Okcydenty“, jednej piędzi ziemi uświęconej lub pohańbionej jakimś faktem historycznym nie pominął w swej poezyi, przeszedł ziemię całą i wszechświat w swej wędrówce ducha, zgłębił wszystkie fazy rozwoju ludzkości od prawieków do czasów najnowszych, wszystko ubierając w skończoną szatę piękna, wszystko wyśpiewując w przepięknych poezyi swej melodyach.

Tłem dla jego utworów — wszechświat cały, ich treścią — dzieje całej ludzkości, natchnieniem — przyroda, piękno, wiara, nastroje duszy, miłość, radość, swoboda, formą — wszelka forma nowa, czy stara, uświęcona zwyczajem, tradycyą, czy nie, byle skończona, byle artystycznie piękna; celem — rozwiązanie wszelkich zagadek ludzkości, ideał piękna i miłości, słońce prawdy i dobra.

Westchnienia żalu, grzmot fal u wybrzeży,
Harmonia dzwonów, gdy gaśnie krąg słońca,
Szum drzew, gdy noc je płaszczem swym okryje,
Krzyki radości, jęki, burza grzmiąca!...
. . . . . .
Co święte gaje łkały w krąg Dodony,
Czem w Delfach święte usta ziemi drżały,
Kiedy z pieczary dym wychodził wonny,
Co groźnym głosem Erynnie śpiewały,
Kiedy przed krzyżem Olimp czoło skłonił,
A z Zeusa rąk wypadły gromów strzały;
Klątwy Kaina, gdy grzech go w świat gonił,
Płacz, gdy potopu wód lały się rzeki,
Czem Memnon w puszczy na wschód słońca dzwonił,
Co prorok widział w pielgrzymce do Mekki,
Co Faust wyjęczał, krocząc błędów cieniem,
Co łkał Ahaswer, błądząc lata, wieki;
Wściekłość Samsona, gdy chram lwiem ramieniem
Wstrząsł; jęki wieszczów, których nic nie stłumi
I śmiech cynika nad ludzkiem spodleniem —

Wszystko w tej pieśni jęczy, płacze, szumi,
Łka, woła, wzdycha, walczy, grzmi i zgrzyta...

(„Symfonie“ — „Głos na puszczy“, przekład Miriama.)

. . . . . .

Łagodny, liryczny duch romantyzmu i poważny helleński duch odrodzenia, zjednoczone we Vrchlickim, unoszą się nad jego poezyą, dotykając swą cichą stopą i zostawiając lekkie ślady często nawet tam, gdziebyśmy się najmniej ich spodziewali. Vrchlický, a po części i Zeyer i więcej — powiedziałbym cała poezya czeska, to jakby spóźniony renesans, rationalizm i romantyzm zarazem.

Późno obudzona, robi wrażenie, jakby przejść chciała wszystkie fazy przejściowe poezyj europejskich, dopędzić je, dorównać, a przynajmniej odpowiedzieć na każdy ton w nich brzmiący i dalej iść równym, jednostajnym pędem. Takie robi wrażenie dzisiejsza poezya czeska, w której zmieszane widzimy wszystkie prądy, jakie przepływały przez poezye innych ludów europejskich, słyszymy dziwnie zmieszany, choć w swoim rodzaju oryginalny akord owych wszystkich przebrzmiałych tonów, akord wygrywany do tego wszystkiego często-gęsto na lutni modernizmu. Ten ostatni objaw naginania poezyi do prądów współczesnych, najmniej da się zastosować do Vrchlickiego, więcej do Zeyera, Svátopluka Czecha i i.

Powszechnie obcy nazywają Vrchlickiego i Zeyera „ostatnimi romantykami w Europie“. Nazwa ta słusznąby była, ale w części tylko. Raczej odnosiłby się mogła do Zeyera, u którego rzeczywiście wpływ romantyzmu zawsze widać potężny, zwłaszcza w pierwszym okresie twórczości. Dziś spostrzedz można u niego dość silne ciążenie ku nowym kierunkom, wrażliwość nie bez oddźwięku na odgłosy haseł młodych i najmłodszych... w poezyi. U Vrchlickiego raczej przeważny widziałbym wpływ odrodzenia, kult hellenizmu, bezwzględną cześć dla starożytności, jej niewyczerpanych mytów, jej posągowej powagi, jasności i słoneczności barw, plastyki kształtów, ten kult widoczny z każdego utworu czeskiego wieszcza, z każdego niemal wiersza.

Emil Bohusz Frida*), bo takie jest właściwe jego nazwisko jest punktem, o który zaczepia się cała sieć literackich czeskich zagadnień. Wystąpił w chwili sporu między pokoleniem starem i młodem, sporu nad kwestyą nowych kierunków literackich, nurtujących wśród młodzieży czeskiej, czy mianowicie przynoszą one korzyść i nowe zdobycze dla literatury czeskiej, czy są zapowiedzią postępu i rozwoju, czy tylko znamionują brak nowych sił i talentów, brak nowych myśli i natchnień i uciekają się do obcych tematów, obcych prądów, obcych idei.

Spór ten zaznaczył się już za Machy, a zagadka sama rozwiązała się dopiero po r. 1848, kiedy wystąpił Frič, a zwłaszcza Hálek i Neruda. Przeciw tej młodej generacyi podnieśli przeciwnicy jej w świecie krzyk, jako przeciw szkodliwym kierunkom, straszyli niemoralnością i kosmopolityzmem. Hálek i Ne-

*) Kilka notatek biograficznych: Urodził się 16 lutego 1853 r. w Lounach, miasteczku czeskiem, z rodziców niezamożnych kupców. Po ukończeniu gimnazyum (zrazu studyował w Pradze) w Klatowcach oddał się, a raczej oddano go na teologię, nie czując jednak w sobie powołania do tego zawodu, przeniósł się na filozofię. Lata 1875—6 spędził we Włoszech, jako nauczyciel domowy rodziny Montekukulich. Po powrocie rok był profesorem w instytucie nauczycielskim, poczem zamianowano go w r. 1878 sekretarzem czeskiej techniki w Pradze. W roku 1880 ożenił się z córką znanej autorki Zofii Podlipskiej, Ludmiłą. Z nią odbył podróż po Holandyi, Belgii i Francyi. Redagował czas krótki czasopismo „Svietozor“, ale niebawem porzucił je, a zamianowany w r. 1893 profesorem literatury powszechnej na Uniwersytecie czeskim w Pradze, pozostaje do dziś na tem stanowisku. W tymże roku obchodzono uroczyście w Czechach 40 rocznicę jego urodzin, a 20-ą rozpoczęcia działalności literackiej.

ruda walczyli przeciw takim zarzutom w „Obrazach żywota“. Głosili, że przedmiotem poezyi jest człowiek i jego dusza wogóle, a dotychczasowa literatura nie jest dosyć silną, aby mogła być podstawą dalszego rozwoju, dopóki się nie pokrzepi sokami poezyi całego świata.

Z tem zapowiedział się kierunek odrodzenia ludzkości, humanizmu, który znowu za swój uważał duch idei Kollara, pierwszego rzecznika słowianofilstwa („Córa Sławy“), duch przez rewolucyą odmłodzonej Europy i duch czeskiej młodzieży, która się z zapałem garnęła do tego kierunku.

Fale natchnienia młodych i przeciwdziałania starych zmieniały się później ustawicznie w dziejach czeskiej poezyi. Neruda „młody“ nawoływał, by uczyć się od wszystkich narodów i nie obawiać się przy tem żadnego wynarodowienia niejako w poezyi. Przejął je z Wiktora Hugo „Legendy wieków“ i wprowadził refleksyjną poezyę. Neruda późniejszy zaś potępił wraz z innymi wprost siebie samego, za to, że przedtem wszyscy błądzili po obcych tematach, że stroili się w szaty światowości, zaniedbywali ojczyste dzieje itd. Były to westchnienia pokutującego serca, z których wynikły późniejsze jego utwory. („Zpěvy pateční“.)

Vrchlický skłaniał się ku hasłom młodości Nerudy. Wyraźnie cechowały jego artystyczny charakter te nowe dążenia, których hasłem było rozszerzenie i pogłębienie poezyi i literatury wogóle: „Wszystko poznać, wszystko zrozumieć, wszystko ocenić, ze wszystkiego, jak pszczoła z kwiatu coś wyssać, gdy poznasz i odczujesz piękno, wpajać się we wszystkie fazy ewolucyi ducha ludzkiego... — to jest nieuchronna potrzeba nowoczesnego artysty, to jest nowoczesny dyletantyzm. I dalej jeszcze idące hasło: „śmiesznemby było, dzisiaj nie poznać wszystkich większych poetów wszystkich narodów“ — i to jest artystyczny kosmopolityzm *). — O narodowość swą nie obawiał się Vrchlický, — nie dlatego, że, jak zwykle, młodość nie zna bojaźni, ale, że wpierw słusznie poznał, jak rozumny i szlachetny kosmopolityzm, a raczej uniwersalizm zbawiennie i zdrowo wpływa na uczucia narodowe. „Czem szerszy — powiada poeta — masz pogląd na świat, tem droższą ci jest ta drobna twa ojczyzna!“ To wykazał swą działalnością tak on, jak Zeyer, Neruda i Czech, zwłaszcza w pierwszej połowie swej działalności.

Wprawdzie Vrchlický nie zbyt teoretyzował, to jednak zaznaczył to swą działalnością. Rozwiązał on tę drugą stronę kosmopolitycznego sporu tem, że stworzył stałe, a świetne wzory rodzinnej poezyi, a następnie spoił pierwiastek kosmopolityczny z narodowym i to był cel właściwy, do którego pierwotnie dążył Neruda, lecz którego nie osiągnął. Vrchlickim kierowała silna chęć wyciśnięcia na czeskiej poezyi charakteru i ducha prawdziwego europeizmu, przemożenia jednostronnego wpływu niemieckiego wpływami innych literatur, zwłaszcza romańskich i stworzenia tą drogą bogatej i wszechstronnej sztuki.

Już pierwszy występ Vrchlickiego był czemś niezwykłem. Żadnego drugiego poety pierwsze utwory nie obudziły tyle nieoczekiwanego zainteresowania i podziwu w Czechach, a także i wśród reszty Słowian, co jego liryki „Z hlubin“ („Z głębin“ 1875.) „Marzenia duszy“ i „Pieśni epiczne“ (1876.) Zwłaszcza ten ostatni zbiór, zawierający 26 pięknych pieśni, ballad i romanc, tudzież jedno dłuższe epos — wart był tego podziwu. W tym zbiorze 17-o do 20-oletniego Vrchlickiego wszystkie pierwsze utwory są tak skończone, że do dziś dnia zaliczane bywają między najpiękniejsze, artystyczne płody Vrchlickiego i poezyi czeskiej, a wśród obcych między znakomite twory, prawdziwe klejnoty poetycznej literatury świata.

Nadzwyczaj wdzięczną formą i nastrojem swoim porwały one serca całej młodzieży. Treść epicznego zbiorku i forma obu poprzednich charakteryzują już bardzo wyraźnie samego poetę.

Wewnętrzną walkę genialnego poety opisuje świetnie na czele postawiona legenda o Thorwaldsenie. Wewnętrzna forma stosowna do głębokich myśli, zewnętrzna budowa odpowiednia skończonemu poczuciu piękna świadczą już o niezwykłej duchowej dojrzałości i technicznej zręczności poety. A jak różnolita, barwna treść jego pieśni!

Tragedye zakonnej niewierności; idealnie piękne obrazki macierzyńskiej miłości; dumne, rycerskie spory; baśń o królu, wojującym z przemocą śmierci; romantyczność cyganów, synów bezwzględnej prostoty, romantyka prastarych dziejów z czasów wędrówek ludów; kosmiczne pieśni; — Dania, Norwegia, Hiszpania, Polska, Wschód, — puszcze, morza — oto treść tych epicznych „baśni“.

Wszędzie wspaniałość dykcyi, treściwość i urok w balladach, marzycielskość w pieśniach, głębokość allegoryj, bogactwo, rozmaitość, lekkość, polot, zapał i potężna fantazya na każdem polu — wszystko to posiada w wysokim stopniu Muza poety. Słowem — Vrchlicky jest mistrzem słowa — w epice. W liryce okazał niekiedy trochę sztuczności, niekiedy chorobliwy pessymizm lub znowu przesadny optymizm i to jednak przełamał i te słabości rażą tylko z początku.

Od r. 1874 stale już z każdym rokiem wzbogaca Vrchlicky czeskie piśmiennictwo nowymi tworami swego ducha, a podziw czytających rośnie coraz bardziej.

Jak już wspomniałem, ideje i przedmioty dla Muzy swej zbierał Vrchlicky z całego świata, czyli jest uniwersalistą w najściślejszem tego słowa znaczeniu. W tę nieskończoność światów i myśli powiódł go — jak sam przyznaje — Wiktor Hugo, którego duch rzeczywiście, jak przewodnik kroczy przed poetą i wodzi go po zaświatach natchnienia, a z którym ma Vrchlicky niezliczona moc punktów stycznych. To śmiałe wyjawienie mistrza swego, który zresztą i tak byłby poznany, stało się bronią zaczepną w ręku nieprzyjaciół poety. Część świata literackiego rzuciła się i rzuca dotychczas na Vrchlickiego z tą bronią, zarzucając mu wszystko możliwe: brak myśli, fantazyi, smaku, niemal języka własnego, wszystko uważając za pożyczone, lub wprost skradzione od W. Hugo.

Lecz jakżeż płytkim i nieuzasadnionym jest ten sąd tej zawistnej Vrchlickiemu partyi w Czechach, kiedy nie tylko inni bezstronniejsi jego rodacy, ale ludzie obcy, cudzoziemcy nawet potrafili się poznać na jego stronniczości i fałszu, a z drugiej strony umieli krytycznie, a trafnie i zgodnie z prawdą zestawić te dwa tak pokrewne, a przecież inne duchy.

U nas Zenon Przesmycki, świetny znawca i tłumacz Vrchlickiego i Zeyera dokonał tego znakomicie w profilu literackim czeskiego poety *), wrodzoną in-

*) „Osvieta“ 1892 „Myslenky o franc. romanie“ Vrchlickiego.

*) „Świat“ 1893. „Profile literackie poetów czeskich“ I.

tuicyą i duchem poetycznym zrozumiał tak świetnie obu poetów, umiał tak trafnie ująć i odróżnić wszystkie obu analogie i różnice w najdelikatniejszych odcieniach, że nie pozostaje mi nic innego, jak streścić jego słowa.

Tak Wiktor Hugo, jak Vrchlický, ogarniają twórczością swą wszechświat cały we wszystkich fazach i epokach, obaj umieją czarodziejsko uciszać zamęt najsprzeczniejszych żywiołów i burzliwych rozgwarów, dobywać wielkie, harmonijne tony. Obaj sięgają we wszystkie sfery i rodzaje poezyi. Obaj z niedościgniona wirtuozyą zapanowali wszechwładnie we wszystkich zakresach sztuki poetycznej i — co największą ich zasługą — wydoskonalili jej narzędzie, nowe stworzyli epoki. Hugo we Francyi, Vrchlický w Czechach stworzyli nowy język poetycki, cały nowy świat poetycki; obaj — dzięki wszechstronności w formie i treści, nietylko ujęli w zwierciadło poezyi swej przeszłość i teraźniejszość, lecz sięgnęli też — często bezwiednie — daleko w przyszłość.

Hugo był „mistrzem“ Vrchlickiego — to znaczy, że żywy przykład starszego rozbudził w młodszym wrodzone mu niewątpliwie, a drzemiące na dnie duszy usposobienie do wszechstronnego ogarniania zjawisk świata, ducha i życia, otworzył przed nim niezmierzone horyzonty, dał do rozporządzania kopalnię całą gotowych już wzorów wirtuozyi poetyckiej, obdarzył wreszcie pewną, szlachetną w praktyce, lecz w teoryi empiryczną i niedość głęboką filozofię humanitarnego racyonalizmu. Na tem jednakże koniec — powiada Miriam.

Pozatem drogi ich się rozchodzą, a stąd i różnice wielkie w poezyi i jej charakterze, wynikłe z różnicy skłonności i upodobań, z właściwości indywidualnych i plemiennych odrębności.

U W. Hugo przeważa — jak zauważył Bourget — władza obrazu, wyobraźnia malarsko-rzeźbiarska raczej, niż „literacka“, wizyonerstwo rzeczy zjednoczone z wizyonerstwem słów, czyli słowem potęga ekspressyi plastycznej — u Vrchlickiego natomiast dominuje cecha słowiańska: wrażliwość raczej uczuciowa, niż zmysłowa, która wzbudza nie, jak u tamtego obrazy, lecz raczej nastroje; jak pierwszemu pozwala się wcielić w plastykę rzeczy, tak temu daje się wczuć w „musicam rerum“. Stąd mniejsza plastyka wprawdzie, lecz zato rozmarzająca śpiewność wiersza, stąd więcej słodyczy, łagodności, pogody — w wierszu więcej harmonii, spółdźwięku, tak trudnych w języku czeskim, brak dyssonansów i gwałtowności, której tak wiele u W. Hugo.

Oto zasadnicza różnica w charakterze poezyi obu tych poetów.

Z tego, a także i przedewszystkiem z odrębności plemiennej wypływa druga ważna różnica, mianowicie, odmienne u obu poczucie słosunku człowieka do bytu otaczającego go. Myślowa poezya W. Hugo jest naturalnym wykwitem racyonalistycznej idei panowania, a przynajmniej górowania człowieka nad otoczeniem — poezya Vrchlickiego natomiast, kontemplacyjna, odczuciowa, pozostająca w ciągłej komunii z otoczeniem, jest wynikiem bierności natury słowiańskiej. Dla W. Hugo punktem wyjścia jest przeważnie jasna, świadoma jego idea — Vrchlický czerpie całą pobudkę z otaczającego go bytu.

To wszystko prowadzi do dalszych konsekwencyj, do dalszych, już czysto literackich różnic.

Poznawszy ogólny charakter poezyi Vrchlickiego, możemy przystąpić do szczegółowej analizy jego utworów.

Niemożliwością by tu było omawiać każde dzieło z osobna, gdyż moc ich jest tak wielka, że samo przeczytanie tych utworów wymagałoby najmniej rok czasu i to wyłącznie tylko na to poświęconego. Płodność Vrchlickiego jest rzeczywiście zdumiewającą, jaką niełatwo można spotkać w dziejach literatur świata. Hugo nie może się z Vrchlickym pod tym względem równać, a nawet i nasz Kraszewski, jeżeli uwzględnimy i jakość utworów, która u Vrchlickiego jest niezmiernie rozmaita. Ilością dzieł ustępuje czeski poeta Kraszewskiemu, ale rozmaitością go przewyższa i przez to tem bardziej zdumiewa bądź co bądź kolosalną ilością utworów.

Dziś Vrchlický ma lat 50 t. z. mniej więcej lat pracy 30, a w tym czasie napisał dzieł blisko półtora sta, jeśli nie więcej. Samych tłumaczeń wedle broszury prof. Alberta o Vrchlickym miało być w r. 1893, więc przed 10 laty 2356 utworów, a z tego 27 wielkich poematów. — Formalna więc grafomania! — a jednak tyle wśród tej powodzi utworów, rzeczy przepięknych, skończonych, światowych.

Jasne więc, że niemożliwością w niniejszych ramach analizować każdego z tych utworów z osobna. Przypatrzmy się tedy im grupami, przy czem przedewszystkiem liryce i epice, w czem Vrchlický jest najoryginalniejszy i najświetniejszy.

Czem jest poezya dla Vrchlickiego?

„Poezya — jak sam mówi w „Mojej Sonacie“, jest zawsze darem Niebios, z którego najwięcej czerpać mamy, gdy najmniej o niej wiemy. W niej szukać powinniśmy szczęścia, spokoju i ukojenia, ona być winna tą gwiazdą, ku której sennym blaskom tłum westchnień naszych i żalów się wznosi, tą falą, co wiedzie ku wyspie szczęścia i zapomnienia, echem grającem bratnich serc bicie, pochodnią zadumy, radości skrzydłem motylem, weselem, pięknem, swobodą. — Ona, poezya, powinna uszczęśliwiać i to w ten sam sposób uszczęśliwiać i uszlachetniać, w jaki uszlachetnia i uszczęśliwia człowieka przyrodzona poezya bytu, wiejąca z głębi niebios, z pól woni, z czaru nocy letniej, z piękności kobiecej, ze wszystkich zjawisk okolnych i z toni serca własnego“.

Poezya, baśń, legenda, pieśń ludowa, to cały świat odrębny, pogodny i jasny, rozległy i radosny, otwierający nieprzejrzany horyzont na dalekie zaświaty czaru i piękna, łączący w sobie dwa dziejów bieguny: przeszłość z przyszłością.

„Pijemy prawdę w zasypanych źródłach
Pijemy piękno w kwiecie uschłej trześni...
Duch-lew pył gwiezdny ma na swoich kudłach,
A zaś nam z łona dyszą stare pieśni“.

(Mrok jesieni).

Lecz sama z siebie poezya jest niczem bez twórcy, bez natchnienia. Jest jakby rudą, która przejść musi potężny ogień natchnienia, jest jakby bezkształtnym głazem, po którym przesunąć się musi dłuto genialnego rzeźbiarza. Wówczas — pod świętym dechem natchnienia poezya odżywa, rwie się i śpiewa — porywa i grzmi, buduje i burzy. Krasy manna słodka rozebrzmi w rytmie całym, a spadający z gwiazd pył srebrny urosi wszystko. Duch tchnie życie w marną

glinę — i wszystko nagle rozpłonie się i rozdźwięczy, jak leśny stok na wiosnę, a z za treści, z za idei, z za barw i kształtów wyjrzy odblask wiekuistego oblicza miłości, życia, Boga, dobra...

(Ciąg dalszy nastąpi)

ZYGMUNT SARNECKI.

DON JUAN I MARKIZ PRIOLA.

(II.) Przeważne wpływy księcia Conti, zowiązego dzieło „szkołą ateizmu“, wyparły „Don Juana“ z teatru. Nadto, długo nie figurował w zbiorowem wydaniu utworów wielkiego komedyopisarza. W pierwszej amsterdamskiej edycyi pomieszczono przez pomyłkę sztukę, tenże sam tytuł noszącą, a skleconą przez wspomnianego już aktora Darimonta. W dziewięć lat po śmierci Moliera, wydrukowano wprawdzie tekst oryginalny w siódmym tomie kompletnego wydania paryskiego, lecz według rękopisu teatralnego, okaleczonego nożycami cenzury, na drugiem i trzeciem przedstawieniu. Dopiero edycye, które ukazały się w Amsterdamie w r. 1683 i w Brukseli w 1694, dały cały utwór, tak jak był pierwotnie napisany, a wydanie paryskie z r. 1813 nareszcie ośmieliło się go wiernie powtórzyć.

Niesprawiedliwa i namiętna wrzawa, wywołana równocześnie przez zachowawczą i wolnomyślną krytykę — obie bowiem zgodnie potępiały „Don Juana“ — silniejszą była od zalet i piękności arcydzieła. W ciągu XVIII wieku nie grywano go prawie wcale, a w XIX bardzo rzadko. Wprawdzie przyczyniał się do tego brak odpowiednich interpretatorów. Do należytego wykonania sztuki potrzeba dwóch olbrzymich talentów aktorskich, któreby mogły podjąć zadanie odtworzenia ról głównych, trudniejszych — ze względu na swą duchową subtelność — od wszystkich, jakie znam we wszechświatowym repertuarze. Trudność tę zwiększa w Théatrê Français obowiązek interpretowania komedyi Moliera w stylu tradycyonalnym, gdy „Don Juan“ właśnie, nowoczesnością swoją, wyłamuje się z tradycyonalnego szablonu. Nowoczesność ta polega nietylko na sposobie traktowania charakterów pierwszorzędnych, lecz i na malowidle postaci drugoplanowych, oraz na języku prostym, jak mowa codzienna. Dworzanie „Króla słońca“ szydzili z narzecza chłopskiego, jakiem przemawiają w nim wieśniacy; smakosze zaś literaccy — w rodzaju Oronta z „Mizantropa“ — potępiali jędrny dyalog prozą, nie mający nic wspólnego z wytwornością wierszowanego noble langage. Że zarzut, ze względu na smak współczesny, miał poważne znaczenie, świadczy fakt następujący. Tomasz Corneille (młodszy brat wielkiego Corneilla), po śmierci Moliera, dał scenie narodowej francuskiej „Don Juana“ rymowanego. Ten cieszył się długiem powodzeniem. Grywano go w ciągu stu lat bardzo często. Chociaż był naśladowaniem Molierowskiego, nie dorastał mu do kostek. W zmanierowaniu zatracił cały wdzięk i urok pierwowzoru.

Nigdy może autor „Szkoły kobiet“ nie był tak szczerze realistycznym i tak żywiołowo komicznym, jak w rodzajowo-epizodycznych scenach „Don Juana“, przeciwstawiając je scenom głębokim, pełnym myśli, dowodzącym, że autor, jako prawdziwy poeta, przeczuwał przyszłość. Beaumarchais, współczesny wielkiej rewolucyi, malując Almawiwę (swojego Don Juana), podkopywał tylko stary porządek arystokratyczny. Molier zaś, sto kilkadziesiąt lat przed nim („Wesele Figara“ grano po raz pierwszy w dniu 27 kwietnia 1784 roku) wyszydzał już to mieszczaństwo, które stać się miało klasą panującą, aby w krótszym czasie wyrządzić ojczyźnie i społeczeństwu większe krzywdy od tych, jakie wyrządziła jej szlachta w ciągu długich wieków. Wieśniacy jego — chociaż ze względu na cenzurę współczesną rzecz sztuki rozgrywa się w Sycylii — są z krwi i kości francuskimi chłopami z normandzkich wybrzeży, chłopami, jak dwie krople wody podobnymi do dzisiejszych chłopów Guy de Maupassanta i Zoli. Pana Dimanche, kupca paryskiego, po dziś dzień przerabiają najmłodsi wodewiliści. A jednak wszystkie charaktery tragikomedyi, pomimo cech narodowych, są także na wskróś ogólnoludzkie; wszystkie, jak w najnowszych utworach modernistów — rysują się na tle sceny nietylko słowem, lecz wyrazem twarzy i gestem, uzupełniającym słowa niedomówione.

Powiedziałem „charaktery“ i nie cofam wyrażenia. „Don Juan“ jest jedyną komedyą Moliera, w której działające osoby nie są typami, pomimo powierzchownej typowości, właściwej, a raczej wrodzonej manierze mistrza. Jednym z dowodów, zdanie moje stwierdzających, jest fakt, że za życia wielkiego komedyopisarza, nikt nie chciał wierzyć w uogólniony typ „Don Juana“. Dworacy Ludwika XIV przypinali do niego rozmaite nazwiska, a za naszych już nawet czasów jeden z najgenialniejszych historyków Francyi, historyk-poeta, Michelet, przyjaciel naszego wieszcza Adama i kolega jego na katedrze Collège de France, widział w Don Juanie hrabiego de Vardes, kochanka Olimpii Mancini. Czy tak było w istocie? Wątpić się godzi. Lecz wierzyć należy, że służyć mu musiał za model jeden z paniczów wersalskiego dworu, jakiś kawaler, markiz lub książę, którego widywał nietylko na pokojach u monarchy, lecz także za kulisami teatru, a może i w własnem mieszkaniu, kręcącego się przy lekkomyślnej żonie, którą Molier ubóstwiał, a która mu życie zatruła goryczą. Kostiumem, dokładnie opisanym w akcie drugim, oraz pewną tężyzną feodalną, nadaną z rozmysłem wytwornej figurze, stara się poeta zbliżyć go podobieństwem do ludzi z czasów poprzedniego panowania (Ludwika XIII), lecz czuć w tem fortel. Pragnie z góry zasłonić się przed podejrzeniem portretowania kogoś z żyjących, uważa bowiem portretowanie za niski stopień sztuki.

Przejdźmy teraz do charakterystyki wewnętrznej Molierowskiego Don Juana. Jest on sceptykiem, o rozbujałych zmysłach, o gorących, erotycznych pragnieniach, nigdy dostatecznie nie zaspokojonych. W miłości jednak nie chce być bezmyślnem zwierzęciem, jak Don Juan Tirso de Moliny, ani dziko, po parweniuszowsku złośliwym, jak markiz Priola. Pewien wytworny epikureizm czyni go chwilami szczerze uczuciowym. Uczucie to nie trwa długo, szybko przelatuje od jednego przedmiotu żądzy do drugiego, lecz zawsze i wszędzie płaci Don Juan za wzajemność własną osobą, jej wdziękiem i czarem wykwintnym. Chociaż pogardza ludźmi, jak Priola, uważa jednak kobietę za królowę otoczenia, za bożyszcze, godne nietylko zabiegów, lecz zarazem i materyalnego uwielbienia. Wie, że jest gorszy od najgorszej, a to rozumne przeświadczenie, oparte na głębszej obserwacyi

i nietuzinkowej myśli, sprawia, że kara, jaka go z woli Bożej czeka, dosięga nie uogólnioną ideę grzechu, lecz wprost człowieka żywego, więc poniekąd — nawet z chrześciańskiego punktu widzenia — sympatyczniejszego. Winien, lecz winę swoją zna i rozumie; jest zatem za co go karać, gdy n. p. Don Juanowie Przybyszewskiego — chociaż bardzo sceniczni i z wielkim talentem nakreśleni — karani bywają nielogicznie i niesłusznie w imię muzułmańskiego jakiegoś (nie greckiego) fatalizmu, nie mającego nic wspólnego z życiem nowoczesnem i nowoczesnymi obyczajami.

Don Juan Moliera, syn mężnych i zahartowanych w bojach rycerzy, którzy w krwi przekazali mu nadmiar zdrowia i sił żywotnych, używa ich — w rozkładającem się już wokoło niego społeczeństwie arystokratycznem — na zaspokojenie namiętności. Ponieważ stan, do którego należy i protekcya stan ten opieką otaczająca, pozwalają mu liczyć na bezkarność, więc broi swobodnie, z lekkiem sercem, z ciągłym żartem i szyderstwem na ustach. Szydzi z ojca, z Elwiry, z jej braci, z głupich wieśniaczek, z wszelkich przekonań moralnych, z medycyny, ze Sganarela, którego zna do gruntu i pogardza nim, jako tym, który go w przyszłości w społeczeństwie zastąpi, ale zarazem go lubi, jako posłuszne narzędzie. Szydzi nawet z Komandora, bo sądzi, że go „zabił dobrze“, bez felonii, w obronie własnej, w pojedynku. A jednak drży wobec niego. Wyraża zaś obawę raz tylko, nie słowem, lecz gestem, uczuł bowiem nagle, że po nad życiem materyalnem płynie jakaś noc duchowa, której w dumie swojej, niemal demonicznej, uznać nie chce, a która przecież zatrzęsła jego nerwami ze stali.

Skąd płynie szyderstwo Don Juana? Z nieulegającego wątpliwości braku wiary. Jego jedynym dogmatem jest: „dwa razy dwa cztery i dwa razy cztery osiem“. Jest ateuszem, — dzieło jednak, w którem gra pierwszą rolę, nie ma na celu wytwarzania „szkoły ateizmu“, jak mniemał książę krwi, Conti, sam ex-Don Juan nawrócony. Każde słowo pięknego uwodziciela potwierdza nietylko brak religii, lecz zarazem brak wszelkiej chęci zwracania myśli ku sprawom ducha. Jest materyalistą szczerym, a przytem tak zwanym „dobrym chłopcem“, nazwą tą zdobiącym niemały egoizm i wytworny demonizm. To nie pospolity rozpustnik Tirso de Moliny, wysnuty z katolickiej legendy, lecz postać nowoczesna, skomplikowana, różnorodna w duchowem znaczeniu, jak Hamlet Szekspira — nie przeczerniona wcale, jak Tartuffe na przykład. Widząc Don Karlosa, napadniętego przez zbójów, broni go z narażeniem własnego życia. Żartuje z wiary nędznego żebraka; namawia go nawet, by klął i bluźnił, daje mu przecież sutą jałmużnę. Czy poeta jednak odtwarza Don Juana z miłością, wlewając weń część duszy własnej? Nie. Ze społecznego punktu widzenia, potępia wielkiego pana, depczącego dumnie dusze czyste, potrzebne ojczyźnie. Szydzi z jego filozofii, nie idącej w parze z sumieniem i poczuciem obowiązku. Jako zaś człowiek, który sam zaznał najsroższych zawodów miłosnych, nienawidzi uwodziciela. Z ateizmu Don Juana nie czyni także własnego wyznania wiary — nie snuje zeń przędzy własnych myśli. Przy każdej sytuacyi, jaką z przygód jego układa, staje zawsze po stronie ofiar bohatera tragikomedyi.

Któż zatem z personalu sztuki wyobraża przekonania filozoficzne i etyczne Moliera? Może Sganarel? — Tak mniemało wielu krytyków. Trudno jednak podzielić ich mniemanie. Sganarel jest uosobieniem innego rodzaju nikczemności, wytworzonej przez pół-wykształcenie, służalstwo, chciwość. Sprytny frant, a płytki półmędrek, wierzy w wszystko, nawet w senes i wilkołaka. Nie posiada on także sympatyi poety, który przeczuciem odgaduje w nim reprezentanta przyszłej, oportunistycznej warstwy rządzącej, cynicznie stawiającej wyżej prywatę od interesu publicznego. Autor odmalował swego clowna tak, jak mu się współcześnie przedstawiał, lecz zdawać się może, że intuicyjnie przewidział, jakim stanie się przeobrażony, przez czas i historyę. Nie żałował mu jaskrawych barw komizmu, nie zniżył go jednak do karykatury. Przedewszystkiem zaś nie zrobił go „dobrodusznym poczciwcem, wierzącym w Boga uczciwych ludzi“, za jakiego podają go niektórzy komentatorowie, szukający w Sganarelu przekonań teozoficznych, moralnych i społecznych Moliera. Sganarel jest stanowczo podlejszym od Don Juana, bo żądze jego są filisterskie i pospolite. Wyższym etycznie wydaje się raz tylko, gdy wyrzuca swemu panu hipokryzyę, w którą seduktor zabrnął u schyłku karyery, ale słuchacz i czytelnik odgaduje od razu, że perora jego, to tylko popis krasomówczej swady, pod którą kryje się cynizm brutalny.

Któż zatem wypowiada moralny sens dzieła i wiarę komedyopisarza? Nikt. Ani interesująca Elwira, taka realna w akcie pierwszym, a pełna poezyi w czwartym; ani Don Karlos, postać na wpół romantyczna w swej szlachetności rycerskiej; ani Don Luis, ceniący wyżej „syna uczciwego tragarza, od potomka monarchy, który takie, jak Don Juan pędzi życie“, ani nawet Komandor, poseł i wykonawca wyroków bożych. Molier był zbyt wielkim poetą, aby chciał na obrazie życia przylepiać etykietę z tendencyą i morałem. Odtworzył ludzi i ich sprawy; zapełnił dzieło tchnieniem poezyi; wnioski — pozostawił słuchaczom.

(Ciąg dalszy nastąpi).

AFORYZMY.

204. Naród byłby niczem, gdyby do niczego nie pretendował. *Brenier.*

205. Na szachownicy życia i pionek umie dać mata.

206. Ludzie muszą być albo niewolnikami obowiązku, albo niewolnikami siły. *Joubert.*

207. Nic się nie staje ani tak jak się obawiamy, ani jak wyczekujemy.

208. Gdy się wahamy pomiędzy dwiema rzeczami, znaczy to, że żadna z nich nie jest dobrą. *Dumas, syn.*

209. Nic tak nie cięży jak obowiązek, który chcieliśmy uczynić lekkim. *Vinet.*

Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Józefa Ziembińskiego